Nr. 15. Rok I.



NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Cena prenumeraty: kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 złtr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austryackich 1 złr. 40 c.

Poznań, 8 Kwietnia 1871.

Redakcja przy placu Wilhelmowskim Nr. 5.
Ajencje:
Lwów: Milikowski, Gubrynowicz i Schmidt.
Kraków: Friedlein, Józef Czech.

OŁGA,
księżna Ruska.

Naszkicował
ks. Lic. Cht.
(Dokończenie.)

XII.

Tyleśmy już nabawili się polemiką, że czas nam naprawdę wrócić do naszéj Olgi, którąśmy zostawili właśnie w czasie, gdy po powrocie z Konstantynopola chciała na Rusi zaprowadzić chrześciaństwo. — Zdaje się, że właśnie wysłanie tego poselstwa było ostatnią czynnością rejencji naszéj Olgi, i że właśnie w tym czasie widziała się zmuszoną złożyć rządy w ręce Świętosława. Wróciwszy bowiem, mieszkała Olga, jak opowiada Nestor, ze synem swoim „Świętosławem" — aż wreszcie o ciągłe gderania „gniewał się Świętosław" — „Mimo to Olga kochała syna swojego i mówiła, niech się dzieje wola Boża" i t. d. Dla czego się Świętosław gniewał na matkę? — tego Nestor wyraźnie, albo raczéj otwarcie nie mówi. Świętosław wedle niego „nie słuchał matki i trwał w obyczajach pogańskich, nie wiedząc, że kto matki nie słucha, w biedę wpadnie, jako powiedziano" i t. d. (następują tu słowa z Exod. XXI. 17). „I dla tego to, prawi znowu Nestor, „gniewał się na matkę."[1]) Rzecz widoczna, że Nestor się pogmatwał, bo mówi, że Świętosław nie wiedział o tem, jaką to złą rzeczą nieposłuszeństwo względem matki, i znowu późniéj prawi że o to właśnie się gniewał, że wiedział, jaka czeka go kara za nieuszanowanie rodzicy.

Nam się zdaje, że Nestor coś przemilczał a mianowicie to, że waregskim karłom i gudom i słowiańskim bojarom, którzy przez czas siódmioletniéj niebytności Olgi w Kijowie doradzcami Świętosława byli, nie chciało się teraz utracić wpływów i ztąd burzyli Świętosława na matkę, a jéj planom i zamiarom stawiali na każdym kroku tamę. Ztąd też stósunek taki naprężony nie mógł trwać długo. Nestor kończy wprawdzie przytoczony przez nas wyżéj ustęp tem, że Olga modląc się wychowywała syna, aż podrósł i zmężniał, ale zaraz następny ustęp zaczyna od tego, że „gdy książę podrósł i zmężniał, począł gromadzić wojska" i t. d. Wziął się zaś do tego już „lata 6464" (964), a więc już w rok po przybyciu Olgi z wyprawy na Carogrod, która wedle Nestora trwała 956 — 963. Świętosław miał wtedy — wedle Nestorowéj chronologji — lat 14 i wiek to był dla kniazia zupełnie wystarczający, aby podejmować wyprawy wojenne i objąć ster państwa, mianowicie gdy o to głównie chodziło chciwéj wojennych łupów drużynie waregskiéj, która po Oldze niczego już w téj mierze spodziewać się nie mogła.

Świętosław tedy niesie zwycięzki oręż aż nad Okę i nad Wołgę, nachodzi Wętyczan, nęka zwycięzkim pogromem: Kozarów, Jasów i Kasogów, a wreszcie bierze Bułgarom 80 grodów nad Dunajem; — aż w końcu, upodobawszy sobie naddunajską okolicę, bawi i hula w Perejesławcu. Był to bowiem książę „chrobry i lekki, jak mówi Nestor, chodząc jako ryś toczył mnogie wojny, woza ani kotła z sobą nie brał, ni mięs nie warzył, jeno cienki zraz bądź koniny, bądź zwierzyny lub wołowiny, na węglach upiekłszy, jadał; ani namiotu nie miał, jeno derkę podściełał, a siodło pod głowę brał. Tacy też byli wszyscy jego wojownicy"[2]). — Nie dziw też, że taki bojownik, który bez taboru wyruszając

[1]) Nestor p. 606. „Si žo k'tomu gniewasze sę na mater".

[2]) Nestor p. 606.

w pole, mógł z nienacka jak sokół napadać na wrogów, wszędy zwycięzko wychodził z boju. Ale też niedziw, że takiemu młodzianowi nudziło się przy staréj matce w Kijowie siedzieć i że dla tego wolał jéj ustąpić zarządu spraw domowych, a sam ująć buławę w dzielne dłonie.

Tymczasem pokazało się niebawem, że Olga dla Rusi jeszcze bardzo potrzebną była. Bo gdy pod koniec 976 roku hula Świętosław w Perejesławcu „i brał od Greków dań“ — napadają Pieczyngowie na Kijów i niespodzianie oblegają gród i miasto szczelnym wojsk pierścieniem. Olga więc jeszcze raz przypasuje miecz Igorowy i stawia z nieliczną załogą waleczny opór Pieczyngom. Atoli niebawem zaczyna głód i pragnienie dokuczać załodze, a zastępcy Świętosława daleko nad Dunajem, i nim gońce Olgi go doścignąć zdołają — wróg gotów dobyć Kijowa i stolicę Rusi obrócić w perzynę. W téj trwodze śmiertelnéj znowu do fortelu ucieka się przemyślna nasza kniahini. Był w Kijowie mołojec jakiś, znający język Pieczyngów, ten tedy z rozkazu księżnéj przekrada się hyłkiem do ich obozu, a udając, że szuka zgubionego konia, przechodzi za obóz i dostaje się do wojewody Prietycza i wieści mu od Olgi przynosi. Prietycz gromadzi na prędce tłumy ludu, uzbraja je w co może na razie i ukazuje się z dala Pieczyngom, głosząc fałszywą wieść przed sobą przez zbiegów, że stanowi przednią straż wojsk Świętosława. Jakoż udał się pomysł, bo przestraszeni Pieczyngowie odstąpili od Kijowa, a tymczasem nadbiegł z doborem wojska Świętosław i „odpędził w stepy Pieczyngów“ Przybywszy zaś do Kijowa „całował matkę swoją i dzieci swoje, litując się tego czego od Pieczyngów doznali“[1]).

I któżby się mógł dziwić temu, że Ruś cała do dzisiaj tak uroczyście imie Olgi wspomina, że ją czci jako patronkę swoją i że cerkiew jéj dotąd w takiem u Kijowian poszanowaniu? Bo wśród ustawicznych bojów, gdy Świętosław „jako ryś chodząc chrobre toczył boje i borykał się na wszystkie strony z wrogami, nękając ościenne ludy i przysparzając księztwu lenniczych obszarów“ — Olga głęboko pojmując nowego jeszcze państwa potrzeby, trzymała w karbach ład i porządek potrzebny, koiła rany zadawane przez wojny bezustanne i zaradzała przeróżnym poddanych potrzebom. I ztąd słusznie kładzie Nestor te znaczące słowa w usta gońcom Olgi do Świętosława: „Książe! ty cudzéj ziemi szukasz i strzeżesz a swoją tracisz“[2]) bo gdyby nie nasza księżna, byłby Świętosław rzeczywiście swą ziemię postradał.

Pouczony świeżą tą nauką, zostaje Świętosław przy matce, ale nie na długo. Następnego już bowiem roku zamierza opuścić Kijów i przenieść stolicę do Perejesławca nad Dunaj, bo tam powiada: „schodzą się wszystkie dostatki: z Grecyi złoto, pawołoki, wino, owoce rozliczne, a z Czech i Węgier srebro i konie, z Rusi skóry, wosk, miód i służba“. — Kraj bogaty i żyzna ziemia wabiły więc Świętosława, ale więcéj pono to, że łatwiéj ztamtąd mógł się utrzymać przy panowaniu nad Czarnem morzem. Myśl to była rzeczywiście głęboko polityczna, którą od razu przeczuli Rurykowicze, garnąc się do morza, i to właśnie nieszczęściem dla Rusi z następców Świętosława żaden jéj w czyn wprowadzić się nie starał. W czterysta lat potem dopiero wpadł Olgierd na to samo i częstemi wyprawami na Krym, starał się Litwie zapewnić politycznego bytu podstawę[3]). Atoli naonczas trzeba jeszcze było wpierw do reszty ponękać i podbić Bułgarów, a przedewszystkiem zabezpieczyć się od Pieczyngów, którzy zawsze zagrażali Kijowu i napadali na wracające z wypraw znużone Rusi zastępy. Olga przeto nie podzielała zamiarów Świętosława i jego planu, a nie mogąc inaczéj mu przeszkodzić, odwlec przynajmniéj wyprawę pragnęła. Prosi tedy Świętosława, aby tak długo pozostał w Kijowie i zaradzał państwa potrzebom aż ona nie umrze. Świętosław uczynił zadość woli macierzy, co „już się była rozchorowała“, a gdy skończyła, wyprawia pogrzeb i co rychléj spieszy znowu ze świeżem wojskiem na Bułgarów i ztamtąd w Grecyą niesie zwycięskiéj Rusi żagle pawołoczne.

Że wyprawy téj celem nie była prosta chęć łupów i że wyższa myśl przyświecała naszemu księciu, gdy się wybierał w tę trudną a daleką drogę, świadczy dostatecznie całe opowiadanie Nestorowe, który w obszernym opisie swym szeroce o tem mówi, że Świętosław ani spojrzał na dary, któremi cesarz grecki chciał go odwieść od wojny. Zdaje się wszelako, że niekoniecznie musiał się czuć na siłach nasz kniaź rycerski, bo niebawem potem sam się zgłasza o pokój, a zawierając nowy mir z Grecją, przysięga, że nigdy nie będzie już napadał Bułgarów, Chersonu i ziemi greckiéj Być wreszcie może, że i tą razą zmusił go do spiesznego odwrotu napad Pieczyngów. Jakoż wracając do domu, wpada Świętosław w zasadzkę Pieczyngów, którzy obsadzili porohy Dnieprowe, i krótki rycerski żywot kończy w śmiertelnéj z wrogiem rozprawie. Pieczyngowie upojeni szałem radości, że się pozbyli tak strasznego a groźnego wroga „odcięli mu głowę, prawi Nestor, i ze łba jego udziałali czaszę, złotem łeb jego okowawszy i pijali z niéj.[1])“

XIII.

Straszliwa wieść o klęsce przy porohach Dniepru przejęła trwogą serca Rusinów, ale przypomniała zarazem tem jaśniéj, jak zdrowy zmysł polityczny miała wielka kniahini. Po niewczasie poznali dopiero doradzcy kniazia, jak słuszne były jéj obawy. Ale Olgi już nie było

Bóg oszczędził jéj serce od tego ciosu, i nie słyszała już na szczęście o tem, że z głowy jéj ukochanego Świętosława upijała się Pieczyngów czerń pogańska, podając ją sobie kolejką przy wyuzdanéj biesiadzie, w zbrukane krwią jego ręce.

Trzy lata przedtem na łożu śmiertelnem przewidziała konającym wzrokiem tę klęskę, ale daremne były jéj upominania. Ale tem więcéj wzrosła jéj cześć u ludu gdy jéj przepowiednie tak się okropnie ziściły.

Konając nie miała nasza księżna innego życzenia, jedno, aby ją pochowano chrześciańskim obrzędem „albowiem miała kapłana i ten pochował błogosławioną Olgę“. Stało się więc wedle jéj woli i tryzny pogańskiéj nie wyprawiono jéj zwłokom, jedno je zachowano w miejscu, jak mówi Nestor. I dobrze się stało, bo nad grobem ukochanéj kniahini niebawem poczęła się modlić Ruś chrześciańska w każdéj publicznéj potrzebie, a wnuk jéj, Włodzimierz Wielki, zostawszych Chrześcianinem uroczyście przeniósł jéj zwłoki do cerkwi dziesięcinnéj, gdzie publiczniéj czci doznawały[2]).

Czuła bowiem Ruś cała ile straciła ze śmiercią wielkodusznéj księżny, a czuli mianowicie chrześcianie na Rusi, że im ubyło opiekunki i patronki przed zachciankami i gwałtami pogańskich bojarów i kniazia samowładnego. Bo ona, prawi Nestor z szlachetnym zapałem „przodkowała Rusi jako zorza słońcu a jutrzenka świtowi. Jak bowiem jaśnieje księżyc śród nocy, tak i ona śród ludu niewiernego jaśniała. Była jako perła śród kału, w kale grzechów był bowiem lud chrztem świętym nieobmyty[3]).

[1]) Nestor p. 607—9. Zwracamy uwagę na to, że wedle rachuby Nestora miał Świętosław lat 14 dopiero, tymczasem tutaj mówi nasz kronikarz o dzieciach. Służy nam to za dowód, że licząc Świętosławowi lat 26 na ten czas, bliżéj jesteśmy prawdy; przypisek nasz — (przyp. nas.)

[2]) Nestor p. 609.

[3]) Szajnocha: Jadw. i Jag. T. I. p. 248.

[1]) Nestor p. 616.

[2]) Stebelski l. c. T. I. p. 22 nota f.

[3]) Nestor p. 610.

Pamięć zasług i dobrodziejstw Ołgi zmieniła się niebawem w cześć nabożną i poczęto ją uważać za świętą, a przychylając się do próśb Rusi, wpisał patryjarcha carogrodzki imie Ołgi w poczet Świętych Patronów Rusi. Który patryarcha i kiedy ją wpisał „w katalog“, chwilowo powiedzieć nie umiemy, ważniejszem atoli dla nas jest to, że osobne na dzień 11go lipca nabożeństwo do niéj [1]), jak np. pacierze kapłańskie itd., niepamiętnych sięgające czasów, zostało zatwierdzone przez kościół katolicki [2]). Ztąd ze czcią wspominając imie św. Ołgi albo Heleny, pragniemy, aby przyczyna téj patronki Rusi wyjednała u Boga, Sędziego narodów, zmiłowanie nad nieszczęśliwym bratnim naszym ludem Rusinów i nad uciśnionym przez schizmę kościołem unickim.

Pisałem w Bydgoszczy w styczniu 1871 r.

[1]) Podaje officium to — Kulczyński: Specimen Eccl. Ruth. P. I. pag. 46 in append. p. 181 starego wydania.

[2]) Kult. i officium Ołgi zatwierdził synod w Zamościu 1720 r. dekreta zaś tegoż sydonu zatwierdzone zostały przez dekret ś. kongregacji de propaganda fide z d. 5 grudnia 1722. i ś. kongregacji Concilior. 4 marca 1724, a wreszcie przez Breve apostolskie: „Apostolats officium“ z 19 lipca 1724, Benedykta XIII. Powątpiewania przez Bollandystów (w Acta sanctorum Septembr. II. Dissertatio de fide et conv. Russ. § II. 22.) czy Ołga jest rzeczywiście przez Unitów czczoną, nie mają żadnéj podstawy.

Pod jednym dachem.

Powieść

przez

Wołodego Skibę.

(Ciąg dalszy.)

Na tem się skończyła rozmowa, z któréj ten sens moralny wynika, że żaden malarz, żaden fotograf tak dobrze nie odmaluje ludzi, żaden plotkarz tyle o nich nie wygada tajemnic, jak ci sami ludzie, gdy się zaczną domyślać, co téż o nich mówią plotkarze.

W innych chwilach, a szczególnie w chwilach samotnych, zwlekanie rewizyty ze strony Pilskiego myrjady czarnych myśli napędzało pannie Izie.

— Nie chce iść do Tuckich, — mówiła sobie, — to rzecz oczywista, kiedy już powtórny szturm przypuszczają, ale co mnie z tego przyjdzie?... To człowiek taki delikatny, taki grzeczny, że tego aż doprawdy za wiele na mężczyznę. Nie pójdzie do nich, ale żeby się nie obrazili, że u jednych bywa, u drugich nie, gotów wcale nie przyjść i do nas.

Każdego ranka panna Iza budziła się z żywą nadzieją:

— Dziś już przyjdzie niezawodnie!...

Stroiła się najwykwintniéj, pomadowała włosy tak, że zmieniały kolor do niepoznania, brała książkę w rękę, siadała wpośród kwiatów, których nowym zasobem przystroiła mieszkanie i czekała rozmarzona... wzdychająca.

Każdodziennie pewność, z jaką wstała z łóżka, zaczynała się przeradzać w zwątpienie, gdy jéj przyniesiono wiadomość, że doktór znowu był u Pilskiego.

— On się nareszcie do niego na sublokatora sprowadzić gotów, żeby go do nikogo nie puścić, — mówiła załamując ręce.

Po obiedzie każdy kwadrans zmniejszał prawdopodobieństwo wizyty sąsiada, z każdym też kwadransem wzrastało niezadowolenie i zły humor panny Rękalskiéj.

Nad wieczorem była już taka zła, że nie przystępuj.

Siostry wymyślały wówczas jaki interes i szły na herbatę, jedna do pani Gącińskiéj, a druga do państwa Porwiczów, albo też do Jadwigi i do cioci Petroneli.

Takie tortury zawsze jednakowych zawodów, takie katusze przewlekającego się bez końca oczekiwania, przecierpiała biedna panna Iza przez trzy dni. I szczęście, że się skończyły wreszcie, bo gdyby jeszcze czwarty dzień zawiódł, piątego dnia niezawodnie musiałaby położyć się w łóżko, a zrozpaczone siostry zniewoloneby były jedynego ratunku szukać w wiedzy i gorliwości doktora Tuckiego.

Szczęściem czwartego dnia, o trzy kwadranse na czwartą po południu, — chwila ta zbyt jest ważną, aby jéj nie oznaczyć z całą dokładnością możebną, — otworzyły się drzwi mieszkania pana Rękalskiego i trzech cór, któremi w szczodrobliwości swojéj obdarzyły go nieba, i utęsknionym oczom panny Izy, panny Teodory i panny Eleonory ukazał się w własnéj osobie, przystrojonéj we frak i rękawiczki, Józef Pilski, sąsiad z przeciwka.

Jakim rumieńcem spłonęła panna Iza, niechaj to El-y, Miron, Ordon, lub który inny z młodych a najwziętszych dzisiaj poetów, w osobnym poemacie opisze. My nie porywamy się na to; prozaicznie dodamy tylko, że temu rumieńcowi w harmonijnym akompanjamencie towarzyszyło westchnienie podobne do szelestu zefirka szepczącego różom:

— Nareszcie!...

Pana Sebastjana nie było w domu, jak zwykle. Musiał być w drodze do Swoszowic albo do Smoczéj jamy, a może na posiedzeniu Towarzystwa Naukowego kreśli dalsze swe prace i ich powodzenia widoki...

Ta nieobecność upraszczała niezmiernie położenie: Pilski nie był zmuszonym mówić o archeologji, przyczem może nasunęłaby mu się znowu myśl, że powinien zdjąć kataraktę z oczu swego gospodarza i obedrzeć się dobrowolnie z tego uroku znakomitości, którym go w oczach pana Rękalskiego jakieś dziwne nieporozumienie oblekło.

Z pannami rozmowa o tak suchéj nauce jak archeologja byłaby niewłaściwą, a z niektórych, specjalnych względów drażliwą nawet i nieprzyzwoitą. Zdarzają się między niewiastami tak kapryśne istoty, że gdy przy nich wspomnieć o przedpotopowych wykopaliskach, zaraz to biorą do siebie i urażają się śmiertelnie. Pilski wiedział o tem i postanowił starożytnictwo całkiem z programu pogadanki wyłączyć.

Zresztą, choćby był nawet powziął dziwaczne postanowienie bawienia panien archeologją, nie byłby w stanie go wykonać, bo kto nawiedzał trzy gracje Babiéj wyspy nie był nigdy panem przedmiotu rozmowy i musiał przyjmować taką gawędkę, jaką gospodynie zaczęły.

Najprzód tedy, — znów prawem pierworodztwa zapewne, — panna Teodora zaintonowała słowiczą pieśń słodkich jak miód wymówek, że sąsiad nie łaskaw na sąsiadki, bo długo na siebie czekać kazał, a przecież nie wypada doprawdy, żeby ludzie mieszkający pod jednym dachem, stronili od siebie jak dzicy.

Pilski tłomaczył się jak mógł i umiał.

— Wymawianie się niewiele panu sąsiadowi pomoże, — karmelkowym głosikiem dodała panna Eleonora, — wymówka bodaj najzręczniejsza nie maże winy...

— Jakiż więc środek mi pozostaje, ażeby ją zmazać, proszę pani?...

— Poprawić się... przyrzekasz pan poprawę?...

— Przyrzekam... jak najchętniéj przyrzekam.

Podczas tego wstępu do rozmowy, panna Iza, jak z przyzwoitości wypadało, rumieniła się i milczała, spuściwszy oczy na robótkę, którą niby bardzo pilnie była zajętą. Złośliwi utrzymują, że téj robótki nie widziała zupełnie, tylko ukradkiem korzystała z dziwnych własności swego wzroku i wpatrywała się w twarz sąsiada, tak że on tego wcale dostrzedz nie mógł. Na dowód téj ocznéj kontrabandy, złośliwi przytaczają, że panna Iza, w czasie owéj wizyty, nieuważnie manewrując igłą, w okropny sposób pokłuła sobie paluszki... My jednak, mimo tego dowodu, w całą tę tradycję nie wierzymy, pytaliśmy się bowiem o to saméj panny Izy i zaprzeczyła nam najuroczyściéj.

Po wyzyskaniu przyrzeczenia poprawy, to jest licznych i częstych odwiedzin, panna Teodora, nie porzucając roli promotorki w rozmowie, skierowała ją na inny przedmiot. Nastąpiły zapytania jak się panu sąsiadowi podoba w nowem pomieszkaniu, daléj w ogóle na przedmieściu, a wreszcie w całym Krakowie?

Pilski był grzeczny, więc na wszystko odpowiadał, że był zachwycony i szczęśliwy, że zapewne w całem mieście nie znalazłby milszego siedliska, że wdzięcznym jest samemu sobie i szczęśliwemu duchowi, który mu podszepnął myśl przeniesienia się do Krakowa, i że jedynem jego pragnieniem jest być całe życie tak zadowolonym i z miejsca pobytu i ze wszystkiego co go otaczało.

Każdą taką odpowiedź panna Iza znaczyła sobie na paluszku, ukłuciem się weń aż do kości, a serce jéj dygotało w takt jakiéjś piosenki rozkosznéj, w któréj niby refrain powtarzały się słowa:

— Mówi, że mu tutaj tak miło i tak błogo... czemuż to?... jeżeli nie dla tego że ja tu jestem?...

I tę piosenkę polecamy do wyśpiewania młodym poetom, którzy w ogólności z serduszka panny Izy czerpaćby mogli przecudne temata, jakoby z natchnień krynicy...

Drugi przedmiot rozmowy, jakkolwiek bardzo obfity, wyczerpał się nareszcie, i trzeba było poszukać trzeciego.

Niewyczerpana w dostarczaniu żywiołu do miłéj gawędki panna Teodora, napomknęła o zajęciach gospodarskich i skarżyć się poczęła na nawał czynności.

— Nie uwierzysz pan, panie sąsiedzie, — mówiła, — ile to jest kłopotu z takim małym domkiem jak nasz...

— Małym domkiem, powiada pani, — przerwał Pilski, — ależ pani, niejeden byłby szczęśliwy, gdyby miał własną chatkę, chociaż jak trzecia część téj kamienicy...

— Trzecia część... najwyraźniejsza alluzja!... trudno być otwartszym doprawdy!... — pomyślała panna Iza i znowu ukłuła się w palec, — trzecia część tego domu to przecież mój posag...

Zapomnieliśmy dodać w swojem miejscu, że wszystkie te bolesne ukłucia panna Iza znosiła bez najmniejszego skrzywienia, tak jakby ich wcale nie czuła, co było wymownym i niezbitym jéj anielskiéj cierpliwości dowodem.

Na grzeczną uwagę sąsiada odpowiedziała panna Eleonora:

— Tak jest, panie sąsiedzie... kamieniczka nasza coś warta... można z niéj żyć, ale co to z tem ambarasów... co zachodów... to ani wyobrazi sobie pan sąsiad... a wszystko na naszéj głowie... cały zarząd... ojciec tylko naukami zajęty...

— Rzeczywiście nie miałem wyobrażenia, żeby zarząd domu tyle pociągał za sobą kłopotów...

— Meldunki... reparacje... porządek... tysiąc rzeczy, — odrzekła panna Teodora, — oto i teraz na chwilę muszę się wyrzec przyjemności rozmawiania z panem sąsiadem, bo mnie obowiązki gospodyni wzywają. Pozostawię pana samego z siostrami, ale niebawem wrócę.

To mówiąc panna Teodora powstała.

— O niechże panie aby ze mną ceremonji nie robią! — zawołał Pilski, — upominam się o prawa sąsiedzkie, proszę mnie nie uważać za gościa.

Panna Teodora skłoniła się najprześliczniéj i odeszła.

— Więc pan sąsiad naprawdę pozwala nie robić z sobą ceremonji? — zagadnęła po jéj odejściu panna Eleonora.

Odpowiedzi Pilskiego nietrudno się domyśleć.

— Gdyby panie krępowały się dla mnie, — rzekł z galanterją, — wziąłbym to za znak, że wizyta moja jest natrętną...

— A więc, żeby panu dowieść, iż nam przeciwnie odwiedziny pańskie są bardzo przyjemne i zawsze pożądane, gotowam i ja skorzystać z pozwolenia, bo i ja, panie... mam obowiązki domowe...

Panny widocznie kierowały do tego, żeby sąsiada zostawić sam na sam z panną Izą. Dziwić się temu, ani ganić tego nie można. Robią tak matki częstokroć, dla czegoż coś podobnego byłoby niewłaściwem między rodzeństwem płci żeńskiéj?... Owszem, dowodzi to tylko, że w braku matki starsze siostry chciały macierzyńską troskliwością otoczyć romantyczny stosunek panny Izydory z sąsiadem, co w każdym razie dobrze świadczy o ich poczciwem sercu i nieograniczonem przywiązaniu rodzinnem.

Rzecz naturalna, że Pilski nie mógł i nie próbował występować z opozycją. Powstała więc i panna Eleonora, ukłoniła się podobnież i odeszła.

Gdyby doktor Tucki mógł w téj chwili dotknąć się rączki panny Izy, schwyciłby się niezawodnie za głowę i o niewiedzieć jaką posądził ją chorobę, puls jéj bowiem uderzał szybciéj od najwarkotliwszego zegarka.

We drzwiach jeszcze zatrzymała się panna Eleonora i rzekła:

— Przepraszam... wrócę za chwileczkę... tymczasem Iza towarzystwa panu sąsiadowi dotrzyma.

Dźwięk imienia „Iza“ dziwnie uderzył w bębenek słuchowy Pilskiego. Słyszał to imię nie poraz pierwszy, Kazia powiedziała mu wyraźnie, że jest kochankiem czy też narzeczonym jakiéjś panny Izy, ale teraz poraz pierwszy w życiu dowiadywał się, że jedna z panien Rękalskich była także Izą, i to najprawdopodobniéj tą samą.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KOBIETA.

Dwom siostrom Teodorze i Stefanji * z Warszawy.

Na wielkim świecie widziałem po trosze
Serca, fantazji, dziwactwa, rozumu;
Ochrzypłą lutnią, co widzę to głoszę —
Do głupstw skarbony dorzucam trzy grosze —
A sam i grosza nie żądam od tłumu...

Widziałem w życiu i szatanów grono —
Czasem anioła, co uśmiechem łudzi, —
Co okiem z lodu rozpłomienia łono; —
Widziałem nawet żebraków z koroną...
Wszystko widziałem, wszystko — oprócz ludzi!...

Świat się zamieni w wielki warsztat. Krzyku,
Huku i pisku i płaczu i jęku
I „specjalistów" na świecie bez liku!
Lecz ludzi niema! — Ten ma w swoim ręku
Dar szarlatańastwa — tamten w gardle krocie —
Ta ma miljony w swych wdziękach ukryte —
A tamta perły i brylanty w błocie...
Ta znów ma serce z kamienia wyryte...
Ten jest żołnierzem, co znaczy — maszyną
Na utrzymaniu u tych, co podatki
Rządowi płacą; — ów, niby drabiną
Po któréj inni pną się po dostatki...
Ten jest księgarzem, bo sprzedaje księgi
W których co nowe nie dobre, co dobre
Nie nowe... Tu znów dandysi, ciemięgi,
W sercu mazgaje, a na pozór chrobre...
Tutaj w mundurki spięci biuraliści —
Tam dyplomaci strojni w jasne wstęgi
Dekoracyjne... Wszystko specjaliści!

Moja specjalność, na honor, nie taka!
Księgarska? nigdy! — Wierszoklecka?... nie ta!
Dyplomacka?... zgroza!... Chcecie wiedzieć jaka?...
Moja specjalność: — kobieta!

Ja w sercu kobiet cały świat odgadłem —
Jak Kolumb, nowe odkryłem obszary.
Ciężka to praca! — z téj pracy pobladłem...
Lecz jakże kocham te święte ciężary!

Przez oczy z ognia do kraterów idę —
Po tętnach uczuć jak po Styksie płynę!
Pieszcząc w swych dłoniach roskoszną Sylfidę
W Letei szczęścia, w zapomnieniu ginę!

Żal mi was, świata wielkie bohatyry!
Żal mi was, z piersi żelaznemi króle!
Niemam w méj żółci dość żółtéj satyry
By wydrwić wasze samolubne bóle!..

Jak ptak jam wolny! Skrzydła me przypinam
Do méj fantazji rozkiełznanych zmysłów —
Przed światem dumnym!... lecz przed mą królową
Kark i kolano w upojeniu zginam!
Drwię z „wielkich" ludzi i z wielkich umysłów!
Z kochaniem w sercu — z podniesioną głową —
Uczuć puklerzem niebiosa rozcinam...

Więc teraz wiecie, moje dwa anioły,
Dla czego kocham wasze piękne oczy? —
Dla czegom z wami jak dziecko wesoły,
I myśl mą kąpię w ócz waszych przezroczy?...

Wy teraz wiecie, dla czego was z żalem
Żegnam — ach może już żegnam na długo!...
Wróćcie.......................................
Widzieć się z waszym uniżonym sługą.

Bruksela 19 września 1869. **Henryk Merzbach.**

Słówko o teatrze, znaczeniu tegoż i o moralności scenicznej.

Ileż to ten, jeszcze nieistniejący, teatr poznański wywołał zdań i krzyków najrozmaitszych!... Ci, którzy wszelki objaw niespożytości ducha polskiego uważają za klęskę i nieszczęście, bo to oddala ową upragnioną chwilę, gdy w Wielkopolsce przestaną istnieć Polacy, a będą tylko Niemcy-katolicy, ci, naturalnie, nazywają ten pomysł szatańskim i bezbożnym. Gromadka naiwnych wierzy temu, i z pobożną zgrozą mieni teatr źródłem zgorszenia i zepsucia obyczajów. Z drugiéj strony, młodzi entuzjaści zamierzony budynek witają z przesadnem uniesieniem, piszą doń ody wierszem i prozą, instytucje te podnoszą do idealnéj wysokości.

Jedni i drudzy nie mają słuszności, ale ten hałas, ta zacięta nienawiść z jednéj, to przesadne uniesienie z drugiéj strony, dowodzą, że ten teatr jest czemś ważnem i poważnem, że ten gmach, mający stanąć w ogrodzie „Potockiego," ma w przyszłości wywierać wpływ niemały.

Już to prawda, że sam fakt zdobycia się na wystawienie gmachu takiego, może przerażać pierwszych a drugich w niepomierną wprawiać radość. Fakt ten bowiem sam przez się dowodzi, że długich jeszcze potrzeba lat, długiéj pracy nad przewracaniem głów, nad wyzyskiwaniem słabości niewieściéj, długiéj intrygi i zabiegów, by z Księstwa zrobić to, co zaś pewna partja zrobić zamierza.

Ale pominąwszy przesadę, nie mylą się, którzy gorąco walczą za, lub przeciw teatrowi, bo znaczenie jego rzeczywiście będzie wielkie, a wpływ potężny.

Scena nie jest ani amboną, ani katedrą, ani trybuną, ale jest po części każdą z tych rzeczy, a dzięki środkom jakiemi rozporządza, jest potęga społeczną i moralną. Jako przykład weźmy pierwszy lepszy dramat Szekspira: Makbeta n. p. Poeta nie rozbiera tam dogmatów, ale uplastycznia tę wielką ideję sprawiedliwości bożéj, która w sam czyn zbrodni zaszczepia jej karę.

Z przedstawienia téj sztuki, widz wychodzi ze wstrętem dla zbrodni, przejęty świętym strachem przed wszech-potężną dłonią najwyższego sędziego.

Szekspir nie wykłada także żadnéj psychologicznéj teorji, a jednak Makbet jest wielką przelekcją psychologji. Jest to olbrzymi i doskonały kurs, uczący, w jaki sposób myśl występna kiełkuje, rozrasta się, dojrzewa i owoce wydaje w męskiem sercu bohatera, i w niewieściem łonie ambitnéj kobiety.

Człowiek wychodzi z przedstawienia mędrszy uczeńszy, bo zdatniejszy siebie i innych osądzić, a ztąd więcéj przeciw złemu uzbrojony.

Szekspir ani słowa o polityce nie mówi, a jednak Makbet przypomina tę wielką prawdę, tak starą a zawsze zapominaną, że despotyzm rodzi się ze zbrodni, zbrodnią żyje i żyć musi, i gubi się tem właśnie.

Żadna mowa trybuna niemoże takim wstrętem przejąć dla tyranów, jak ostatni akt Makbeta.

To, co jest w Makbecie, znajdziemy w rozmaitym stopniu w każdéj sztuce dramatycznéj, mającéj wartość rzeczywistą. Każda z nich działa na pojęcia filozoficzne, moralne i obywatelskie widzów, każda rozbudza w nich pewne ideje, przywiązuje do pewnych pojęć, wstrętem przejmuje do innych.

Przypatrzcie się tylko sali teatralnéj gdy się kończy przedstawienie dobre, dobréj sztuki; spojrzyjcie po twarzach widzów. Śmieją się, lub są smutne i zamyślone, w miarę tego, jakie wrażenie chciał wywołać autor.

Cały chaos towarzyszący wychodzeniu niezdolny zatrzeć tego wrażenia. Każdy wracający ciemną ulicą do domu, myśli jeszcze o tem co widział i słyszał. Jeszcze żałuje lub się śmieje... słowa mu w mózgu

wirują... rozbiera je, sądzi; słowem, jest w tem rzadkiem usposobieniu, gdy człowiek myśli nie o sobie i nie o kłopotach codziennych.

Wrażenie to mija naturalnie szybko i zaciera się wkrótce, ale gdy się ono powtarza często, gdy w dni kilka lub kilkanaście człowiek wybiega w tę sferę pełną poezji, dramatyczności, wzniosłych myśli, gdy często patrzy na walki złego z dobrem, na śmieszność głupoty, na szlachetność cnoty i piękna musi się przejąć i napoić tą atmosferą idealną, myśl jego musi się wznieść na wyższy nieco poziom, musi się pozbywać wad i błędów, które śmiech lub wstręt jego budziły, słowem, delikatnieje, szlachetnieje umysłowo, czyli: cywilizuje się.

W ogólności, teatr wpływa w ten sam sposób na społeczeństwo jak każda inna sztuka, tylko że wpływa na większe masy, i potężniéj — nietylko jak malarstwo, snycerstwo i architektura, ale potężniéj jak wszelka książkowa i dziennikarska literatura, niewyjmując powieści, potężniéj nawet, jak muzyka.

Jest to rzeczywiście najdemokratyczniejsza z form sztuki, i dla tego ostatnie dopiero czasy olbrzymi jéj rozwój widzą. Wszędzie też kwitła ona przedewszystkiem tam, gdzie nietylko arystokratyczne sfery ale masy były zdolne poznać i ucenić sztukę.

Jakoż malarstwo, rzeźbiarstwo, architektura, to rozkosz szczęśliwych i bogatych. Żeby módz ocenić nawet piękność w tych trzech działach, trzeba mieć estetyczny instynkt Włocha, lub stosowne wykształcenie.

Muzyka, niepotrzebuje wprawdzie kosztownych materjałów, ani pysznych miast i pałaców, ale znowu swoją idealnością, przystępna jest tylko znawcom, lub duszom wybranym.

Druk zrobił przystępnymi dla wszystkich głosy wieszczów, prace myślicieli, gawędy powieściopisarzy.

W ostatnich czasach powieść ogromnem rozlaniem się po świecie, może do pewnego stopnia rywalizować z teatrem, ale i tu różnica jest wielka.

Naprzód, u nas n. p. powieść, która się w 2,000 egzemplarzy rozejdzie, a czytaną będzie przez 6,000 ludzi, jest niezawodnie wyjątkiem i musi mieć sławę bajeczną.

Niech sztuka dramatyczna ukaże się na czterech naszych głównych scenach, niech wytrzyma na każdéj kilka przedstawień, a już o wiele, o wiele przeniesie tę cyfrę... Gdzie indziéj stosunek ten jeszcze więcéj na stronę teatru przeważa.

Tego jednak niedosyć.

Inna rzecz przemawiać białemi zadrukowanemi kartkami do nieuważnego czytelnika, inna porywać masy zgromadzone razem.

Dziecko zapłacze, służące się pokłócą, wizyta się zjawi, trzeba książkę położyć... Gdy biedny powieściarz właśnie do szczytu zawikłania doprowadził opowiadanie, czytelnik przerywa, odchodzi, i gdy wróci, to już poprzednie wrażenie minęło, nawet poprzednie kartki zostały zapomniane, dalszy ciąg czyta się chłodno, i praca autora na nic.

W teatrze rzecz zupełnie inna. Tu pisarz przemawia do ciekawego tłumu, do ludzi różnych warstw i usposobienia. Wszystko to zapatrzone na scenę, usposobione do słuchania, wygodnie rozparte, nielękające się żadnéj przerwy. Tłum, światło, stroje, podnoszą usposobienia ogólne, nastrajają je inaczéj, wyżéj, wrażliwiéj.

A przed tym tłumem nie występuje biedna, mała książeczka, którą przeczytać trzeba, ale żywe osoby, ale kobiety piękne; nie postacie, które czytelnik musi sobie siłą własnéj wyobraźni wyrabiać podług danych przez autora, ale typy żywe, chodzące, ruszające się.

Kiedy w powieści trzeba kartek paru na opis miejsca, innych kilku na scharakteryzowanie osób, tu z podniesieniem zasłony i tło i typy stają gotowe, żyją ruszają się.

Kiedy każda inna sztuka przez jeden tylko zmysł człowieczy działa na jego ducha, teatr działa na wszystkie od razu, i ze wszech stron szturm do estetycznych instynktów widza przypuszcza.

Malarstwo dekoracjami i oświeceniem, architektura rozkładem i liniami, rzeźba, pozami pojedynczych aktorów, lub ugrupowaniem wszystkich, muzyka deklamacją wspomaga tu po bratersku, geniusz dramaturga, oddaje się na usługi poecie, otacza, podnosi, cieniuje jego słowa, wciela jego ideje.

Żaden więc sztukmistrz, żaden artysta niespotyka tak szczęśliwych okoliczności, takich ułatwień jak dramaturg. Przed nim tłum sympatyczny, spragniony, drżący żądzą wrażeń, w jego ręku talenta aktorów i wsparcie wszystkich muz dziewięciu. To też teatr jest potęgą.

Żadna wystawa, żadne galerje, żadna biblioteka, ani nawet prelekcje i odczyty, nie są w stanie tak szybko, tak potężnie oddziaływać na zmianę pojęć, na podniesienie poglądów uczuć, a nawet do pewnego stopnia, na moralność publiczną szerszych warstw, jak dobry i dobrze prowadzony teatr.

Dziś zwłaszcza, gdy życie płynie szybciéj, gdy gorączka materjalnych interesów i realny prąd wieku niezostawiają ani czasu, ani ochoty do głębokich rozmyślań, do zapuszczań się w spekulacyjne badania, teatr większego jeszcze nabrał znaczenia.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KRONIKA TYGODNIOWA.

Nasz teatr od pewnego czasu ożywił się ogromnie przybyciem Rychtera; — nie widać, jak to po więszéj części bywa, pustych lóż i krzeseł w dniu wystąpienia artysty — gościa. W zeszłym tygodniu mieliśmy sposobność widzenia go w roli Shyllok'a w Szekspirowskim „Kupcu Weneckim.“

Nie wyobrażajcie sobie jednak, łaskawi czytelnicy, których szczęśliwe „Bogi-Many“, mówiąc staréj Romy stylem, nie zawiodły w ów dzień w bramy (sic!) poznańskiego teatru, abyśmy widzieli wielki Shakespeare'a dramat w całéj jego rozciągłości, — ot tak na przykład jak go widzieli Warszawiacy przed niedawnym czasem. Bo też ci Warszawiacy to prawdziwe dzieci szczęścia; im, gdy mają zobaczyć Shakespeare'a, naprzód rozbierają każde niemal słowa niespożytego dramaturga wieków, każdą ideę, każdą myśl, która dla nieprzygotowanych przeszłaby niepostrzeżoną. Henryk Lewestam, któremu mimo wielu zdań niechętnych, każdy przyznać musi znamienitą na tem polu znajomość, przed niedawnym czasem przyspasabiał piękną swą prelekcją publiczność warszawską do „Kupca Weneckiego“, jak obecnie do „Hamleta“, téj najłatwiejszéj do ukochania, a najtrudniejszéj do pojęcia ze wszystkich szekspirowskich postaci. My nie jesteśmy dziećmi szczęścia, nam nie rozbierano utworu albiońskiego dramaturga, dla nas, jak dla Warszawian, nie posłano do „morza królowéj“ malarza, któryby za powrotem dał nam przepysznego pałacu dożów dekorację, — nam wreszcie dano sam szkielet „Weneckiego kupca“ a mimo tego myśmy za-

dowoleni opuszczali tego wieczora teatr. Bo też postać Shyllok'a, w każdym swym rysie tchnęła głęboką prawdą, wszystkie odcienia wschodniego charakteru czujesz co chwila w téj kreacji, po mistrzowsku odtworzonéj przez pana Rychtera. To prawdziwy potomek „przeklętego przez Chrystusa ludu", taki, jakim go pojmowały średnie wieki, co mówię, jakim go pojmowały tak jeszcze niedawne czasy. Całą straszną przepaść pogardy z jednéj, nienawiści z drugiéj strony, całą dolę tego ludu, którego historję zawarły wieki średnie w owéj Ahaswerusowéj legendzie, stawił nam Shakespeare przed oczy — a uzmysłowił nam owego wieczora Rychter.

Śmiało to powiedzieć możemy, — gra Rychtera była prawdą aż do punktu, z którego wchodzi się w trywialności, była idealną do téj granicy, w któréj ideał wykracza z pojęć prawdy; największym szkopułem w téj roli jest akcent, ten akcent gardłowy, właściwy ludom wschodu, który poczujesz w ich mowie, jakim bądź będą mówić językiem, jakiegoż trzeba głębokiego poczucia i pojęcia, aby tu nie zejść z linji prawdy, aby nie przejść w trywialność, od któréj odgranicza artystę może jeden ćwierćton głosu, że tu użyję muzycznego języka, może jeden śpiewniejszy wykrzyknik. To też głębokie wrażenie robiła na nas ta postać mimo całego jéj okrucieństwa, mimo téj straszliwéj nienawiści, mimo nawet owéj brudnéj miłości złota. Cóż dziwnego, że ród Parjasów, którego karmiono pogardą, pokochał złoto, dające od wieków znaczenie i poważanie w świecie? Więc Shyllokowi można przebaczyć namiętną miłość złota, które z czasem ze środka stała się dlań celem, podobne pomyłki nie tylko wyznawcom Mojżesza się zdarzają. — Można również usprawiedliwić, można pojąć chowaną w głębi piersi nienawiść i z niéj wypływające okrucieństwo, bo Shyllok czuje i wypowiada to w scenie, która wedle osobistego poglądu waszego profana kronikarza była zenitem gry Rychtera, że równym jest w obec Boga i społeczeństwa tym, co sobie przywłaszczyli względem niego prawo pogardy. Ta cudnie piękna scena daje charakterowi Żyda to światło idealne, o którém powyżéj wspomniałem.

Podłym jest niewolnik, co zagłuszywszy w sobie poczucie równości, zgina kark przed panem, oddając mu dobrowolnie berło moralnego pierwszeństwa; takim niewolnikiem Shyllok nie jest!... i to nas mimo stron ujemnych ciągnie do téj postaci, to nam daje odrobinę dla niéj sympatji, tak że w końcu czujemy żal do Schakespear'a za to, że nic nie daje mu w zamian za pogardę całego życia, za wszystko co ukochał a co tracić musi, za córkę, za złoto... Czy Shakespeare chciał nam dać pojęcie sprawiedliwości owych wieków — surowéj, niezbłaganéj? ależ w takim razie nie ma tu różnicy między ideą chrystjanizmu a owém „ząb za ząb, krew za krew!" oba te pojęcia również nieubłagane, równie zimne!

Reszcie postaci mimo najlepszéj woli nie mogę poświęcić części mego opowiadania, bo zbyt mnie absorbował bohater dramatu, na inne uwagi mi nie stało. A potem i tak zbyt długo, jak na kronikarza, rozpisałem się o „Kupcu weneckim" i choć mnie nęci jeszcze Porcja, którą malując, jak twierdzą niektórzy jego komentatorowie, Shakspaere przeczuwał stanowisko kobiet, do którego obecnie gdzieś tam, na drugiéj świata półkuli dążą, a do którego u nas ledwie jedna na tysiące kobieta wzdycha skrycie. Czemu skrycie? Nie wiem... może się boi tytułu emancypantki. Więc o Porcji trzeba będzie zamilczeć, aby nie obudzić skrytych westchnień, a szkoda, bo p. Nowakowska dobrze się wywiązała ze swéj roli.

* * *

Od pewnego czasu na scenie rzadko widujemy pannę J. Górecką, obecnie zaś dochodzi nas wieść, że dyrekcja usunęła ją z personalu. Nie chcemy wierzyć téj pogłosce, — p. Nowakowski bowiem sam to wie dobrze, że panna J. Górecka jest jedną z głównych ozdób poznańskiéj sceny i że pozbywając się sił pierwszorzędnych, których nie zastępuje nowemi, musi liczyć się z publicznością.

* * *

Oprócz gościa, o którym tak szeroko rozpisałem się na początku téj kroniki, bawi obecnie w naszem mieście znany malarz Maleszewski, twórca portretów naszych królów i bohaterów, które dziś w każdym niemal polskim domu się znajdują. Poznań może szczerze żałować, że pobyt tego artysty jest tylko czasowym.

Σ.

Korespondencje: Z Berlina. Z Warszawy.

Berlin 3 Kwietnia.

Wybaczcie, — o dni 10 opóźniłem się z korespondencyą, lecz Bóg widzi nie moja w tem wina; porwał mnie prąd radości, zabawy, roztargnienia, nie pozwolił zasiąść do biórka i w zwykłym czasie z doznanych wyspowiadać się wrażeń. Berlin od chwili zamknięcia Janusowych podwoi, — albo raczéj fabryki sławnych kiszek grochowych, które w czasie pokoju żadnego nie znajdą pokupu, — do tego czasu jest jeszcze w stanie radosnego upojenia, nie może do zwykłéj flegmatycznéj powrócić równowagi. Uwolniona od gniotącéj ją zmory, od głazu, który ciężarem oddech i ruch jéj krępował, poważna, spokojna państwa prnskiego stolica, strzepnęła się jak rybka wyzwolona z sieci, jak żaczek przewróciła koziołka i rozswywoliła się na dobre. Pomimo tysiąca policyjnéj służby, pomimo wzywających do spokoju ogłoszeń publicznych, panował tu w pierwszych dniach zwłaczcza nieporządek zadziwiający. Tłumy ludu snuły się po głównych ulicach popychając, powstrzymując się wzajem, pojazdy, omnibusy, dorożki, długim ciągnąc się rzędem, stykając, karambulując się niemile, przechodniom tamowały przejście, a wieczorem, kiedy rzęsiste oświecenie główną część miasta w jedno morze światła zmieniło, uciecha pospólstwa przekroczyła dozwolone granice; rakiety, ognie bengalskie, wystrzały, śpiewy, okrzyki i bójki uszły tą razą bezkarnie. — Chwilowo spokój panuje w Berlinie, ludność gotuje się na przyjęcie zwycięzkiego wojska, a przyjęcie to wspaniałością przechodzić ma wszystkie dotychczas urządzane uroczystości publiczne. Na dzisiaj więc wstrzymuję się od wszelkich spostrzeżeń i uwag, jakie mógłbym z powodu byłych naznaczyć festynów dla lepszego scharakteryzowania ludności berlińskiéj; oczekiwana uroczystość stosowniejszą będzie okolicznością. — Szczupłe grono mieszkających tutaj Polaków dało w ubiegłym miesiącu kilkakrotnie znak życia i pracy, przeważnie w kierunku artystycznym; objawy te bliżéj rozebrać wypada. Nasamprzód w pierwszych dniach marca odbył się w sali tutejszéj akademii muzycznéj koncert wokalny rodaczki naszéj, Warszawianki, panny Braciszewskiéj. Nie wdając się w szczegółowe ocenienie koncertu, zaznaczyć musimy, z radością iż renoma, jaką panna Braciszewska zyskała w Berlinie, zadziwiający przydomek drugiéj Jenny Lind, jaki jéj opinia nadała, już dzisiaj po części dostatecznie są usprawiedliwione. Głos p, B. odznacza się niezwykłą wysokością i siłą, brak mu jeszcze elastycznéj miękkości, brak wy-

robienia, ale przymioty te zyskują się pracą, a p. B. jest dopiero na progu przyszłości. Śmiało powiedzieć możemy, iż przyszłość ta świetną będzie dla naszéj rodaczki, zaszczytną dla rodzinnego jéj kraju, tém zaszytniejszą, iż chociaż p. B. wiele zawdzięcza zagranicznéj szkole, pierwsze jednakże podstawne nauki na własnéj otrzymała ziemi, w Warszawskim konserwatorium muzycznem. — Dnia 12 marca odbyło się pierwsze w Berlinie przedstawienia teatralne polskie, udządzone staraniem tutejszego Towarzystwa Przemysłowego. Powiedzieliśmy już w przeszłéj korespondencyi, iż Towarzystwo Przemysłowe powinnoby pracę swoją ku lepszym obrócić celom, iż powinno starać się szczególniéj o dobrobyt, oświatę swych członków, a zabawę w mniejszych, stosowniejszych zamknąć granicach; zdania tego nie zmieniamy wcale, z drugiéj strony nie przeczymy bynajmniéj, iż zabawy podobne, szczególnie koncerta, przedstawienia teatralne, łącząc rozproszone jednostki, budząc w nich poczucie narodowe, zbawienne wywierają wpływy i dla tego w pewnéj mierze pożyteczne są i konieczne. Nie ganimy bynajmniéj rzeczy saméj, ganimy tę tylko okoliczność, iż się do niej niestosowne zabrały ręce. Niechaj panowie akademicy, którzy zabawy te w łonie towarzystwa urządzają, którzy prawie wyłączny udział w nich biorą, którzy posiadają więcéj czasu, swobody i środków pieniężnych — do podobnych przedsięwzięć, niechaj uwolnią Towarzystwo Przemysłowe od tego niestosownego dlań zadania, które drogi czas i umysły zajmując, krępuje rozwój Towarzystwa we właściwym kierunku, niechaj utworzą własne towarzystwo zabawy i ciężar ten całkiem przejmą na swe barki, a natenczas potrzebom i wymaganiom stron obydwóch zadosyć uczynioném będzie. — Przedstawienie teatralne, o którém wyżéj wspomnieliśmy, jak na raz pierwszy nieźle się udało; szczególnie komedyjka „Po naszemu“ ogólnie i słuszne zyskała pochwały. Przedstawienie to urozmaicił biegłą grą swoją młody fortepianista, rodak nasz, p. Stolpe. Pan Stolpe w młodym wieku doszedł już do nadzwyczajnéj biegłości i wprawy w przezwyciężaniu technicznych trudności i rokuje na przyszłość wielkie, bardzo wielkie nadzieje, — jeżeli zechce porzucić swój dotychczasowy, jednostronny kierunek, jeżeli więcéj pielęgnować będzie stronę gry duchową, idealną. Brak, zaniedbanie nawet myśli okazuje się szczególniéj w kompozycyach p. Stolpego, które kilkakrotnie słyszeć mieliśmy sposobność. Artysta lubuje się w zastraszającéj łamaninie palcy, w strasznym huku i puku, z którego ucho profana, oprócz wątpliwéj czasami harmonii, nic wysłyszeć, nic zrozumieć nie zdoła. Nie wątpimy jednakże, iż p. Stolpe z błędu tego rychło się wyleczy; artysta ma lat osiemnaście, znajduje się jeszcze w tak zwanéj „Sturm- und Drangperiode“, lecz przy tak znacznych zasobach zdolności, przy pracy nad rozszerzeniem widnokręgu myśli może kiedyś w świecie muzycznym zaszczytne zająć stanowisko i szereg polskich znakomitości powiększyć. — Z niemniejszą spoglądamy nadzieją na postępy jedenastoletniego fortepianisty Ludwika Dunieckiego, chociaż nie podzielamy okrzyków podziwu i uwielbienia, jakiemi go w przeszłym zwłaszcza roku korespondent „Dziennika poznańskiego“ obdarzał. Duniecki nie jest wcale meteorem, kometą, po którymby cała Polska cudów spodziewać się mogła; podobnych jedenastoletnich artystów nie rzadko spotkać można na świecie, a większa ich część w późniejszym wieku nieodpowie całkiem oczekiwaniom. Są zdolności, które rozwiną się rychło, zawcześnie, późniéj jednak, do pewnéj doszedłszy granicy, pozostają na stopniu zwykłego talentu; rychłe rozwinięcie zdolności nie jest jeszcze oznaką genjuszu, nie jest bynajmniéj miarą postępów w przyszłości. Żywimy wprawdzie nadzieję, iż Duniecki może na znakomitego wyrobić się fortepianistę, ale wypowiadamy otwarcie, iż nadzieja ta błędną być może. W grze jego wiele jest wprawy mechanicznéj, mało dotychczas intelligencji a inteligencją tę głównie przez ogólne wyrobić można wykształcenie. Niechaj więc osoby opiekujące się Dunieckim tem ogólnem zajmą się wykształceniem, niechaj rozszerzą widnokrąg jego myśli, niezaniedbując kształcić w nim smaku i artystycznego poczucia, a kiedyś może oczekiwania nasze w miłą zamienią się rzeczywistość. Radzimy szczególniéj publiczne występy zawiesić na teraz zupełnie; dzisiaj są one tylko wyzyskiwaniem nierozwiniętych zdolności. Świat chwali małego Dunieckiego jako dziecię, jako fenomen, ale czy pochwały te Dunieckiemu jako artyście wiele przyniosą pożytku, o tem wątpimy zupełnie. Pozwalamy sobie w końcu na to zwrócić uwagę, iż jedenastoletnie dziecko nie wypada tytułować na programach. „Ludwig Ritter von Duniecki“ niemile uderzył nasze oczy. — Korespondencją tę kończymy nadzieją, że osiadli w Berlinie artyści Polacy, jak panna Braciszewska, pp. Stolpe, Danysz, Beker i inni, owocami swéj pracy i z naszym biednym krajem podzielić się raczą. Pochwalamy, iż za granicą polskiéj narodowości uznanie starają się wywalczyć, upraszamy jednakże aby nam dali sposobność braterskie im za to złożyć podziękowanie. —

Warszawa 1 kwietnia.

Wyobraźcie sobie proszę, mili nadgoplańscy bracia, jeżeli jeszcze możecie sobie cokolwiek wyobrażać, że my tutaj wśród postnych dumań o grzechach żywota, bylibyśmy zasnęli jak nieodżałowanéj pamięci siedmiu braci śpiących, gdyby nie wypadek skropiony brylantowemi kroplami szampańskiego wina. Było to — (rozpoczynam bardzo poważnie) na Śty Józef. — Literaci a raczéj p. Edward Lubowski, który rozwija coraz bardziéj swój talent gastronomiczny w urządzaniu obiadów składkowych, postanowił urządzić taką ucztę dla Józefa Keniga Redaktora poważnéj staruszki Gazety Warszawskiéj, dla uczczenia trzydziestoletnich jego zasług w dziedzinie dziennikarstwa. Więc byliśmy tam wszyscy, wypiliśmy wszystko co było i nakarmieni, złożyli kilkaset rubli na ubogich studentów Uniwersytetu Warszawskiego. Mówiąc o uniwersytecie Warszawskim przychodzi mi jedna uwaga. Kiedy była jeszcze polska Szkoła Główna nikt w arcy dobroczynnéj Warszawie nie pomyślał o poratowaniu uczącéj się i umierającéj z głodu młodzieży. Kiedy powstał z ruin Szkoły Głównéj Cesarski Uniwersytet w którym wykłady wszystkie są w moskiewskim języku, cała Warszawa myśli tylko o tem, jakby ustrzedz od głodu i nędzy ubogich studentów. Zapewne! lepjéj późno jak nigdy — lecz... lecz... no! są tu jakieś lecz... już choćby dla tego samego, że jest ogromna różnica pomiędzy młodzieżą Szkoły Głównéj a młodzieżą dzisiejszego uniwersytetu. Tamci się uczyli... była w nich myśl zacna, ogólna, narodowa — a dziś?... Boże się pożal!...

Wiecie zapewne że kochana Wisła pohulała sobie nieco po nadbrzeżnych ulicach Warszawy, ale obecnie już jest spokojna i cicha i szemrze czekając zapewnie na wieszcze (!) słowa dramatu Deotymy p. n. Wanda, który mają czytać, czy przedstawiać w Teatrze Dobroczynności. Jak jéj to błogo być musi, kiedy wspomnienia w niéj zbudzą się, owe lata dawne i wieki dawne w których Wanda marmurowe swe ciało skąpała w wiślanéj fali... Wisła więc szemrze kurcząc się pod żelaznym mostem, a na scenie Teatru Wielkiego grają Hamleta, którego pierwsze przedstawienie było na benefis p. Modrzejewskiéj. Ofelia, którą beneficiantka grała, była prześliczna podobno, bo wasz korespondent nie mógł dostać biletu więc nie był na Hamlecie. Samego królewicza grał Królikowski — mówią że zanadto patetycznie i deklamacyjnie traktował rolę. Zresztą dobrze — jak wszystko w Warszawie, cicho i spokojnie — wszyscy

się nawzajem admirują i wielbią i byłby istnie olimpijski u nas spokój, gdyby nie Kolce, owe kartki humorystyczne, które „gryzą i dławią“ tutejszych literatów „jak Makbetowe amen“.. Wyszedł bowiem drugi poszyt — zalecam wam, popielowym synom, owe świstki gryzące, dowcipne a łzawe... W zeszycie tym jest nader dowcipny list jakiegoś francuskiego literata dowodzący P. Lubowskiemu plagiatu... Jak wam się to podoba?

Z nowości ukazała się powieść Józefa z Mazowsza p. t. Kobiety i mężczyźni ale słaba i kapitalnie nudna. Zresztą nic nowego — święta się zbliżają, chciałbym się z wami podzielić jajem święconem, ale jakim sposobem? Jeśli urocza Balladyna, w sieci tęczowéj nadgoplańskiéj mgły, przyśle do mnie chochlika swego, to wam na ręce jego liliowe nie omieszkam posłać serdecznego uścisku w uroczysty dzień Zmartwychpowstania!...

JEREMIADA.

Z nieubiegłéj doli.

Jako krew, łuną niebios oblały się szczyty...
Krwawe znaki pokryły zachodnie zenity,
Krwawe chmury powietrzne staczały gonitwy,
Nacierały jak wojska, gdy idą do bitwy.
Powietrze jakoś ciężko, złowrogo dyszało,
I tchnieniem — groźne słowa ludzkości szeptało.

„Wojna, wojna!“ — lud krzyczał na widok strwożony;
A zgiełk — wrzawa — krzyk — lament płaczem przytłumiony
Miękczyły serce każde, choć bijące w stali.
Bo kogoż to nie zmiękczy, gdy się wszech-świat żali?
Wojna, wojna w zachodzie — krew popłynie nowa,
Zafarbi brzeg Sekwany — nie wróci połowa!
„Boże!“ — krzyczały matki rzewną łzą zalane,
Ze zgrozą wznosząc w niebo ręce załamane! —

Jeszcze echo wciąż biło matek płacz o skały
A już trąby wojenne „do broni“ zagrzmiały.
Na konie! — héj do broni — młodzieży na boje! —
Daj nam, matko, twe dziecię — już ono nie twoje.
Dla kraju-ś je wydała — dla kraju obrony —
Ciężka wojna zagrzmiała u zachodniéj strony.
— O Boże! — na obronę nieojczystéj ziemi? —
Ha trudno — już na koniach — z sercami krwawemi —
Już minęli wsie, miasta i poblizkie sioła,
A echo po nich smutnie „już nie wrócą“ woła.

Poszli — a miasta całe i całe krainy
Puste, głuche zostały; — jęk tylko rodziny
Owian szatą rozpaczy wiatr niesie skrzydlaty,
I dźwiga w dal powietrzną — gdzie Boże zaświaty.
O dość rodzino jęków — głos szepce daleki,
Otrzyj łzą zlane rzęsy — otrząś łzę z powieki,
I zanieś z głębi serca modlitwę: „O Panie!
Wstrzymaj rękę karzącą — już nam łez nie stanie —
Wszechmocny świata Stwórco — błagamy ze łzami,
Miej litość tam nad nimi — zmiłuj się nad nami!“

Poszli — miecze szczęknęły — niebo krwią się pali —
Sroży się krwawa bitwa — na wieki zostali. —
Już leży kwiat przyszłości na polu w mogile, —
Oset na niéj wyrasta i dzikie badyle, —
Czasem tylko skowronek z piosenką podleci,
Czasem blaskiem meteor im zwodnem zaświeci,
Czasem jaka dziewica na ich grobie klęknie
I „wieczny odpoczynek“ z swéj piersi wyjęknie. —
Księżyc tylko w cmentarze spoziera wybladły,
I patrzy na upiory, co na grobach siadły.

S. M. W.

Dr. Adam Raciborski.

W czasie ostatniego oblężenia Paryża, wydarła nam śmierć przedwcześnie znakomitego lekarza, rodaka, doktora Adama Raciborskiego, znanego nietylko u swoich, ale także, a nawet więcéj może jeszcze, znanego u obcych. Głównem polem działania jego była Francja, Paryż, dokąd po rewolucji 31 roku przybył. Już na uniwersytecie warszawskim, na który uczęszczał, odznaczał się zdolnością i pilnością. W r. 1829 otrzymał wielki medal złoty w nagrodę za najlepszą pracę z anatomji. W powstaniu listopadowem czynny brał udział, jako lekarz wojskowy. Po upadku powstania zmuszony był szukać schronienia we Francji, gdzie z zamiłowaniem oddał się pracy naukowéj, do czego Paryż tyle mu nastręczał sposobności.

Roku 1834 uzyskał od fakultetu paryskiego stopień doktora za napisanie rozprawy: „Des tumeurs stercorales dans le tube intestinal.“ Tego samego jeszcze roku uzyskał nagrodę w Ecole de médecine za pracę: „Mémoir sur l'application des médicaments par la méthode endermique.“

W roku 1835 wydał piękne dzieło: „Nouveau manuel complet d'Auscultation et de Percussion.“ Dzieło to przetłomaczone na wszystkie europejskie języki, z wyjątkiem polskiego. O ile wiemy, przetłomaczył je na język niemiecki Dr. A. Hacker; na język angielski przetłomaczone dwa razy nawet — i Dr. Fitzherbert wydał je w Londynie, a Dr. Poste w Ameryce, w Bostonie, co większa, na język nowogrecki przetłomaczył je Dr. Alexander Blastos z Hios. O ile wiemy, żadne z dzieł przez Polskich lekarzy wydanych, takiego nie doznało powodzenia „za granicą.“ Także na kilka języków przetłomaczono wydane jego w roku 1837 dzieło: „Précis pratique et raisonné du diagnostic dans les maladies“, ale jak poprzednie, tak i to dzieło nie wyszło w tłomaczeniu polskiem.

Prace te i inne, wielkie wyrobiły mu imię i 1837 r. stanowisko szefa kliniki wewnętrznéj fakultetu paryzkiego. Był on z Polaków lekarzy, oprócz prof. Hirszfelda, pierwszym we Francji, który sobie tak znakomite wyrobił stanowisko i uznanie. Z licznych prac jego naukowych, uwieńczonych nagrodami, wspomnę tylko pracę: „Histoire des découvertes relatives au système vaineun“ nagrodzoną 1840 roku 1,200 frankami. Zauważyć należy, że na tem samem posiedzeniu akademji medycznéj, rozdającéj owe nagrody, przyznano mu porówno z panem Dr. Brierre de Boismont prawo do innéj jeszcze nagrody 1,200 franków.

Wyliczenie wszystkich otrzymanych nagród, pochwał i prac jego zbyt długoby nas zatrzymywało, dość powiedzieć, że aż do ostatnich chwil nie ustawał w pracy, a jeszcze przed niespełna dwoma laty dzieło jego uwieńczone było w akademji nauk w Paryżu. — Nic dziwnego przeto, że męża takiego chciano powołać roku 1849 na opróżnioną wówczas katedrę kliniki wewnętrznéj

uniwersytetu Jagiellońskiego. Żałował on wielce, że okoliczności nie pozwoliły przyjąć ofiarowanego mu zaszczytu. W przedmowie do pisma: „O styczności medycyny z innemi naukami“ pisze on w r. 1858: „W żalu, jakiego doznaję, nie mogąc pracować wspólnie z Wami, dla utrzymania starożytnéj sławy Waszego uniwersytetu, ta jedna tylko myśl mnie pociesza, że w przekonaniu mojem, ja sam tylko w tem poniosłem stratę. Jakoż w istocie, uczony mąż, który dziś w pośród Was katedrę kliniki zajmuje (Dietl), nie może nic Wam pod tym względem zostawiać do życzenia. Niepodobna jest bowiem, aby umiejąc tak pięknie zasługiwać na własną sławę w uczonym świecie, nie przyczyniał się tem samem do utrzymania sławy uniwersytetu.“

Za staraniem ś. p. Adama Raciborskiego, nie wyłączając wcale zasług innych znakomitych mężów, n. p. Dr. Seweryna Gałęzowskiego, utworzyło się roku 1858 tak potrzebne „Towarzystwo Lekarzy Polskich w Paryżu“ którego on wybranym został głównym sekretarzem. Czynności towarzystwa tego okazywały się i na zewnątrz wydawanemi rocznikami, w któremto wydawnictwie ś. p. Adam czynny brał udział. Pisze on w pierwszym roczniku: „Towarzystwo Paryzkie Lekarzy Polskich pragnęło, że tak powiem używając metafory lekarskiéj, utworzyć między Paryżem i lekarzami polskimi, pewien rodzaj cyrkulacji intellektualnéj.“ Widzimy, że ś. p. Adam nie usuwał się od prac wspólnych z rodakami. O ile tu i owdzie odzywające się głosy, że w końcu życia tak było, były usprawiedliwione, nie chcę rozsądzać, ale to wiem, że wielka część słyszanych przezemnie zarzutów, była bez wszelkiéj podstawy. Do osądzenia jego myśli, zdań i dążności najlepiéj nam posłużyć mogą własne jego słowa, przeto pozwolę tu sobie przytoczyć kilka zajmujących ustępów z pism jego.

„Patryotyzm nasz polski“, pisze on, „zależy na nieustannem usiłowaniu postawienia się na równi z najucywilizowańszemi narodami. Wszystkie myśli, instytucje, powiem nawet instynkt chcącego postępować ludu, powinny dążyć do tego celu. Szanujmy przeszłość jako pamiątkę po ojcach naszych, ale kierujmy bez przestanku myśli nasze ku lepszéj przyszłości.“

Jakież piękne zaiste i wzniosłe pojęcie pracy narodowéj, a jeszcze on czynem starał się temu wysokiemu, szczytnemu zadaniu odpowiedzieć, i bodajbyśmy wielu mieli Raciborskich! —

„Znana powszechnie wyższość zdolności rasy słowiańskiéj, któréj Polacy zwłaszcza dali w ostatnich latach tak liczne i oczywiste po różnych krajach dowody, jest jedną z najszczęśliwszych warunków do postawienia sztuki lekarskiéj w Polsce na równi z najpierwszemi pod tym względem narodami.“

„Zdawało mi się, że w położeniu, jakie nam Opatrzność w dzisiejszym stanie rzeczy przeznaczyła, każdy lekarz polski ma podwójny obowiązek. Jeżeli z jednéj strony obowiązani jesteśmy popierać, ile można, szlachetne dążności każdego z rządów*), pod którego zostajemy opieką, to z drugiéj strony nie powinniśmy zapominać na chwilę o tem, co nam dyktuje uczucie narodowości, równie święte, jak uczucie familji lub osobistéj własności.“

„Głównym obowiązkiem każdego lekarza polskiego jest czuwać nad dawną sławą gniazda ojczystego i skupiać obok niego, jakby w ognisku zwierciadła, ważniejsze zasługi rodaków, rozsypanych w pośród różnych narodowości, z którémi je nieraz cudzoziemcy mięszają. Niechaj wszyscy ludzie wyższego ukształcenia robią podobnie w każdéj gałęzi nauk i sztuk, a łatwo nam będzie przekonać tym sposobem świat ucywilizowany, że Polacy zdolni są przy korzystnych okolicznościach, zajmować jedno z najważniejszych stanowisk między narodami pod względem intellektualnym.“

„Nie omieszkaliśmy udzielić uczonemu światu francuzkiemu ciekawszych wyjątków z téj pracy**); albowiem zdaniem mojem, powinniśmy się starać dawać jak najczęściéj cudzoziemcom okazją uczenia się wymawiania nazwisk polskich. Niechaj Francuzi zwłaszcza przekonują się przez nas, że jest coś jeszcze po za Renem oprócz samych Niemców, z których pracami mają zwyczaj mięszać prace wszystkich uczonych całéj wschodniéj Europy, dla tego zapewne, że się tylko o nich z dzienników niemieckich dowiadują.“

Oto są główne w téj mierze wyjątki, wystarczające niezawodnie do osądzenia, poznania autora, którego przed trzema laty miałem szczęście osobiście poznać i ocenić i tyle doznałem od niego względów, że nim ktoś obszerniejszą, dokładniejszą da nam wiadomość o życiu i pracach znakomitego tego męża, uważałem za obowiązek, skromny hołd jego pamięci złożyć.

Berlin 21 marca 1871. **Dr. R.**

*) Autor żył we Francji i doznawal gościnności i opieki Francji.

**) Praca doktora Krajewskiego, lekarza powiatu Hrubieszowskiego: „O odmrożeniach i o wpływie mocnego zimna na organizm.“

Szkice z podróży w Tatry

przez

Walerego Eljasza.

(Dalszy ciąg).

Świnnica,

szczyt w Tatrach wys. 7,395 stóp wied.

W drodze do Tatr, gdy nas jeszcze dwie mile od nich dzieliły, zatrzymaliśmy się przed karczmą we wsi Białego Dunajca, dla popasu koni; właśnie wtedy rozsunął się zachmurzony horyzont i ukazał się nam szereg dzikich, urwistych gór, ubielonych miejscami płatami śniegu. Zachwycający był widok tem bardziéj, gdy z powodu słotnego dnia spragnieni byliśmy przyjrzeć się zdala celowi naszéj podróży. Rozwiniętéj przed nami grupie Tatr nowotarskich królowała wspaniale, najwyższa w tem paśmie turnia, zwana Świnnicą lub Świńską „Skałą“, z powodu, że się na jéj szczyt nikt nie mógł dostać, nim w r. 1867 udało się Dr. Eug. Janocie z słynnym przewodnikiem tatrzańskim Maciejem Sieczką, odkryć na nią wyjście. Zbierał wówczas pomiary barometryczne po Tatrach Dr. Eug. Janota dla Komisji Fizyograficznéj Tow. Nauk. Krak., i z tego powodu zwiedzał szczyt jeden po drugim; chodziło mu więc bardzo o to, aby zmierzyć najwyższą górę w wysuniętym na północ łańcuchu Tatr. Kilkakrotne w tym względzie usiłowania Dr. Eug. Janoty uwieńczył w roku 1867 pomyślny skutek. Opowiadania Dr. Janoty o pobycie na szczycie Świnnicy zaostrzały niezmiernie moją ciekawość, z tem większą więc chciwością spoglądałem na olbrzymią skałę z przed karczmy w Białym Dunajcu, a moim pragnieniom wtórowało całe towarzystwo złożone z podróżnych obojéj płci.

Z Krakowa w odległości 14-milowéj wśród wielu szczytów całego łańcucha Tatr dobrze obeznanemu z temi górami da się odróżnić Świnnica nietylko ze swego

położenia, ale i oryginalnego kształtu, a cóż dopiero zbliżając się do Zakopanego, gdy Spiskie turnie zakryte przodowemi górami, ustępując Świnnicy pierwszeństwa w wysokości, podnoszą tem bardziéj jéj znaczenie.

Przybywszy do Zakopanego, zamieszkaliśmy w chacie Macieja Sieczki; lato było jak na góry prześliczne, pogoda ciągła, tymczasem w skutek przepisów lekarskich nie wolno mi było właśnie tego lata puszczać się na żadne szczyty, gdyż stan zdrowia mego wymagał spokoju przy kuracji wodami mineralnemi i żętycą. Żal mi się robiło patrzeć z przed chaty na turnie czyste, niezachmurzone, ograniczając się na wycieczki w doliny. Upływał już czwarty tydzień mego pod Tatrami pobytu; czułem, że sił nie nadwerężę, chociaż złamię przepis lekarski, i zamówiłem sobie na przewodnika Macieja Sieczkę, ryzykując następstwa, jakieby z tego wyniknąć mogły.

Po kilkodniowéj słocie, 7 sierpnia 1868 r. nastąpiła noc piękna; przed świtem zbudził nas przewodnik, ale nieprzygotowani w żywność puścić się w drogę nie mogliśmy, a nimby się ją przysposobiło, strata ku temu poświęconego czasu była do nie powetowania. I dobrze się stało, bo koło południa chmury zakryły wierzchołki gór, więc napróżnobyśmy byli pod szczyt zdążali, jak się to stało w ten sam dzień towarzystwu męskiemu, które się z Walą napróżno na szczyt wybrało. Na drugi dzień odłożyliśmy upragnioną wycieczkę.

Czas piękny wróżył dobrze o naszem przedsięwzięciu. Płeć żeńska zastosowała się do przepisów przewodnika, w krótkich opiętych sukniach, w kapeluszach z dużemi brzegami, z laskami w dłoniach; żona i siostra moja w chęci dorównania nam mężczyznom, co sobie tylko zostawiać zwykliśmy rozkosz tryumfów z pokonania trudów, rano przed godziną 6tą stanęły do pochodu.

Minęliśmy cały szereg domostw zbudowanych wzdłuż drogi przez wieś, po za kościołkiem Zakopańskim skręciliśmy się koło domu Staszeczka (2,615') ku południowi. Rosa silna pokrywała trawniki, potoki szumiały po równinie rozłożonéj pod reglami, a po nad nią w dali piętrzyły się turnie wspaniałe, tworząc olbrzymią ścianę jakby zaporę świata, którą mieliśmy przebywać.

Reglami zowią się tu góry niższe wstępne, podnóża głównego grzbietu, które stoją jak na straży przy wejściu do dolin. Są regle lasem pokryte, a niektórych tylko wierzchołki przenoszą leśną granicę, gdzie już tylko kosodrzewina porasta. Każdy regel ma swoję osobną nazwę, z których dwa nam najbliższe strzegą wejścia do doliny Bystréj, do któréj nas droga wiodła. Od zachodu z szeregu towarzyszy wychyla się Krokiew (4,264') całkiem lasem pokryty, a od wschodu najeżony skałami Nosal (3,745').

Weszliśmy w las, droga równa kamienista, ocieniona świerkami, piękniejsza od alei parków angielskich, wyprowadziła nas wkrótce na drugą drogę prosto wyrzniętą pośród lasu do Kuźnic; pochyłość na pozór mała powoli wznosi się do znacznéj wysokości; nim się stanie u jéj końca, podróżny ani wie, że doszedłszy do dworu w górnym końcu drogi zbudowanego wzniósł się o 592 stóp wyżéj nad poziom Zakopanego.

Wysokie oparkanienie od zachodu zamyka las od drogi; jest to dworski zwierzyniec, dokąd wpada strumień z szumem rozbijający się o złomy granitu. Zatrzymaliśmy się chwilę na mostku przy walcowni, która rozpoczyna szereg kuźnic, aby popatrzeć na dolinę Zakopanego z widokiem na Beskidy. Tu ma ujście dolina Bystra przerznięta kilkoma potokami tworzącemi strumień Bystrą zwany, przez gości upornie za Biały Dunajec uważany, który dopiero powstaje we wsi téj saméj nazwy po złączeniu się licznych potoków w jednę rzekę.

Woda Bystréj porusza huty żelaza nazywane hamrami lub kuźnicami. Gdyśmy koło nich przechodzili, kilka z nich tylko było w ruchu, reszta świętowała, co zdradzało brak życia górniczego. Postępując w górę, szczyty kryły się coraz bardziéj, droga się na dróżyny rozdrabniała. Jedną z nich tuż koło karczmy ku wschodowi powiódł nas Sieczka przez kładkę ponad potokiem do stóp Boczania, pierwszéj w naszéj drodze góry, na którą nam się spinać przyszło. W téj okolicy jak zwykle na początku doliny tryska dużo źródeł wybornéj wody; przy ścieżce pod Boczaniem (3,219') + 4° Reaum. napotkane kusi swojem krzyształowem przezroczem, trudno go minąć, aby z zdroju nie zaczerpnąć; cóż to za nieoceniony napój! zwłaszcza dla nas mieszczan, co musimy pijać wodę z studzien przesiąkniętych zgnilizną kamienicznych dziedzińców.

Z pomocą kijów darliśmy się w górę po śliskiem zboczu góry porosłéj lasem; korzenie drzew sterczące wszędzie wprawdzie z jednego względu ułatwiają wychodzenie, bo noga ma się gdzie uczepić, ale z drugiego utrudniają pochód, bo są wśród nich dziury, zakręty sposobne do zawikłania nogi. Dobrześmy się spocili, nim nam Boczań wierzch swego grzbietu odchylił, a jeszcze spory kawałek drogi w górę przebyliśmy, gdy po wyjściu z granicy lasu odsłonił nam się wolny widok na różne strony. Dróżyna prowadzi grzbietem Opaleńca po zwirze wapiennym powstającym z rozkładania się w drobne kamyki skały, która jest téj góry rdzeniem, tak zwanym calcem. Świat się nam już kładł pod stopy, chociaż daleko jeszcze było na szczyt Świnnicy.

W głębi doliny Olczyskiéj szumiał potok, widać było polany, szałasy, szopy na siano, dużo wierchów, a za niemi całe prawie Podhale aż po Beskidy, które się malowniczo rysowały na tle nieba. Nie dał nam się nigdzie zatrzymywać przewodnik, radząc rozpatrywanie odłożyć do powrotu, bo czas naglił, gdy przed sobą mieliśmy jeszcze daleką i przykrą drogę. Minęliśmy zbocze żwirowe Kopy Królowéj, następnie Kopę Magóry, zdążając po ślicznéj murawie przez halę Królową zwaną od jéj właściciela, włościanina Króla. Przed nami roztworzył się świat alpejski z całą potęgą górskiéj przyrody: od południa piętrzył się główny grzbiet Tatr, nagi, dziki, straszny rozmiarami i przepaściami; śnieg urozmaicał blaskiem swéj białości sine barwy skał i urągał ciepłu, które nam pot wyciskało.

Od wschodu rozpoczynał szereg turni poszczerbiony grzbiet rozłożystéj Wielkiéj Koszystéj (7,047') rozdzielonéj Krzyżnem (6,846') od Turni Buczynowych, za niemi następują Granaty (7,101'), Czarne Ściany lub Kozi Wierch (7,316'), Zmarzła Turnia, a od zachodu kończył się grzbiet Świnnicą (7,395') królującą swoim towarzyszom. Kształt jéj podobny do piramidy, ostro ścięta turnia od północy i zachodu nie daje ani marzyć o przystępie na szczyt. Wśród skał zdala widać usypiska lejkowate, potworzone z pokruszonych kamieni. W nich z topniejących śniegów i deszczów powstały stawy, jakich pośród siebie dużo liczą Tatry. U stop Świnnicy mieszczą się Stawy Gąsienicowe, nazwane od Gąsieniców, właścicieli doliny, a gospodarzy z Zakopanego.

Z hali Królowéj ścieżką nadół, pośród kosodrzewiny i złomów granitu, zeszliśmy na dolinę Gąsienicową, gdzie niespodziewanie napotyka się na osadę pasterską. Tworzą ją szałasy owcze, krowie, szopy, jakieś klitki z gałęzi i kamieni służące za schronienie bydła i pasterskiéj ludności obojéj płci. Gwarno tu dosyć i wesoło, jeżli czas piękny, bo w słotę, co żyje, kryje się pod dach i dym tylko unoszący się tu i owdzie zdradza pobyt ludzi. Psy pasterskie oznajmiły całéj osadzie pojawienie się przybyszów na grzbiecie Magóry, skąd zdążaliśmy ku szałasom. Sieczka powiódł nas poprzed swój nowo zbudowany szałas (4,900'), usiedliśmy na kamieniach szczerze powitani przez juhasów; wynieśli nam mleka, ale pomimo pokusy do wybornego napoju powodowaliśmy się wielką wstrzemięźliwością nauczeni doświadczeniem

— mleko bowiem przeciąża żołądek, jeźli się na góry przychodzi spinać.

Było wpół do 9téj godziny gdyśmy tu odpoczywali, z wielkiem uszanowaniem poglądając na coraz wydatniejszą Świnnicę; ona więc pochłaniała główną naszą uwagę, a jeszcze stąd przeszło cztery godziny czasu potrzeba było, aby bezprzestannie pnąc się do góry, stanąć na szczycie. Pomimo ślicznéj pogody obawialiśmy się, żeby przypadkiem nie zjawiła się skąd chmurka, co się często zdarza w Tatrach, która uczepiwszy się wierzchołka, niszczy owoc wszelkich trudów podróżnego.

Naprzód mieliśmy dojść na grzbiet od zachodu na tle nieba się rysujący na przełęcz Liliowem zwaną (6,165') od rosnącego tam obficie zawilca alpejskiego, którędy wlecze się granica Węgier od Polski. Słońce nam dopiekało, a ciągły pochód pod górę jednostajnie porosłą trawnikiem nużył bardziéj, niż darcie się na urwiste wierchy. Napotykaliśmy po drodze stawy Gąsienicowe, małe, z tych jeden Sobków, powyżéj Suczy od utopionéj w nim złéj suki przezwany od juhasów, następnie Dwoisty, bo złomami granitu przepołowiony, Kurtkowiec, Zielony i najwyżéj położony Kościelcowy (5,686'). Z tych wszystkich największy jest Suczy, 5 morgów, 1797 sążni kwadr., ale najpiękniejszy Zielony o 2 morgach, 1,021 sążni kwadr. powierzchni, bo malownicze ma otoczenie.

Szliśmy i szliśmy ciągle, a drogi zdawało się, że nie ubywa, przed nami zasłonięty widnokrąd myśli nie urozmaicał; wtem przewodnik zboczył ku południowi na brzeg skały; postąpiwszy za nim ujrzeliśmy w głębi ciemno granatowy staw od zachodu jeszcze brzegiem zamarznięty, turnie się odbijały w jego powierzchni, jak w zwierciadle; był to staw Zielony, chociaż żadnem drzewkiem nieumajony. W drodze na Liliowe, — miejsce to najładniejsze; odtąd śnieg tylko spotykaliśmy.

Wśród lata i rozwiniętéj roślinności, przy temperaturze wyciskającéj pot na całém ciele, widok śniegu zawsze uchodzi za osobliwość. A ma on odmienną postać od zwykłego u nas śniegu w czasie zimy. Śnieg, co się może oprzeć przez lato działaniu słońca, a nadewszystko deszczowi, przetwarza się w zbitą masę twardą z powierzchnią falistą, pobrudzoną od naniesionego wiatrem pyłu, śliską, na któréj trudno ustać; od spodu ulega więcéj topnieniu, z tego powodu powstają jakby oparzeliska, w grubym pokładzie jamy te ziejące chłodem przejmują na wskroś.

Gdy nas przewodnik ostrzegł, że już wyżéj wody nie ma, nakładłem do blaszanki napełnionéj winem czerwonem śniegu czyściejszego ułupanego toporkiem spod zwierzchnéj warstwy, przez co można było na dłuższy czas utrzymać napój w chłodnym stanie. Wreszcie w półtoréj godziny od szałasu koło 10 godz. przed południem spoczęliśmy na Liliowem.

Cóżto za urocze miejsce! — cudowny ten świat Boży! — mimowoli wyrywają się tu z duszy podobne wykrzykniki uwielbienia. Grzbiet szeroki, bujną trawą porosły użycza wygodnego odpoczynku; usiadłszy jak na wezgłowiu, poiliśmy się niezrównanym widokiem; w lewo i prawo ciągnie się nieskończone pasmo gór, za sobą w głębi mieliśmy dolinę dopiero co przebytą Gąsienicową, a przed sobą pod stopami głęboką dolinę Wierchcichy, z któréj dolatywał nas szum potoku; od południa przeciwlegle wznosi się grupa wierchów z najwyższemi Wierchcichą i Wielką Koprową. Ponad niemi rozdarty łańcuch gór odsłania równinę Liptową zasianą wsiami, miasteczkami, poprzerzynaną potokami, a w zupełnéj dali sinieje pasmo gór zwanych Niżniemi Tatrami. Wprost na południe sterczą najdziksze szczyty tatrzańskie począwszy od wspaniałego Krywania (7,913') aż po Gierlach (8,414').

Prawdziwa to rozkosz zatopić się oczyma w szeroko rozwinięty przed nami obszar ziemi, cisza głucha wśród pogody, olbrzymiość natury, oderwanie się od zmateryalizowanego świata, swoboda myśli, wszystko to wprowadza w zadumę; — wówczas uczuwa człowiek w sobie pierwiastek poezji, choćby w nim zasnęło czucie, na widok uroczéj przyrody, przynajmniéj na chwilę musi się obudzić.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Skrzynka do listów.

Panu L. Ż. w Kow... Tak jest, oczekujemy.

Panu Br. Kom... we Lwowie. Posiadamy w tece naszéj kilka utworów dramatycznych, prosimy przeto o drobniejsze prace i o podanie warunków.

Panu Tad. D. w Krakowie. Na chwilowéj zwłoce nam nie zależy.

Autorom wierszy p. n.: „Na cmentarzu“ — „Moje gwiazdki“ — „Czemu mi smutno“ — „Do kwiatka“ — „Żegnaj luba“ — „Do ***“ — „Do M*“ — „Joanny (z Schillera).“ — „Do młodego wieszcza“ — „Spotkanie (z Schillera)“ — Przedtém, teraz i potem“ — „We więzieniu“ — „Rybak“ — „Szczęśliwy“ — „Na Sybirze“ — „W imionniku P. P.“ — „Zdrajca ojczyzny“ — „Pod Mątwami“ — „My i oni“ — utwory panów, drukowane nie będą.

Panu A. Mal... w Sm. Serdeczną podziękę zasyłamy, za nadesłany nam wiersz Karola Brzozowskiego. Wkrótce spotkasz się z nim Szanowny Pan w łamach naszego pisma. Wiadomość podana przez redakcją „Pamiątek dla rodzin polskich“ a odnosząca się do śmierci ś. p. Karola, jest niestety prawdziwą. Poezje jego, drukowane dziś w rozmaitych pismach, są już tylko pozgonną spuścizną po utalentowanym poecie. Nr. 12 „Tygodnika“ wysłaliśmy.

Panu I. Z. D. w Gródku. Utwór wasz, poświęcony pamięci Harro-Harringa, mimo szczęśliwego pomysłu, — grzeszy jednak brakiem spójności pojedynczych strof, drukowany przeto nie będzie.

Panu S. M. W. Wiersz pański p. t.: „Dziewczę i lilia“ zbyt wiele przywłaszcza sobie z pióra „Mazowieckiego grajka“ aby mógł być drukowany.

Autorowi wiersza p. t.: „Życie“ przypisanego Wład. Bełzie: Pomimo kilku udatnych ustępów, nie kwalifikuje się do druku.

Panu F. Mik... Z nadesłanych nam utworów, — kilka zamieści wkrótce „Tyg. Wielk.“

Panu Σ. Żalujemy, że wiersza pańskiego p. t.: „Rok powodzi“ tak będącego na czasie, drukować nie możemy.

Na fundusz konkursowy za napisanie najlepszego utworu dramatycznego, otrzymaliśmy od: W. B. 5 sgr., K. K. 5 sgr., G. 2½ sgr., J. M. 5 sgr., E. C. 1 tal., A. C. 1 tal. Wycz. 1 tal., O. C. 5 sgr. Q. 1 tal., Racz. 5 sgr., X. Y. Z. 10 sgr., K. Ko... 5 sgr., Śm. 5 sgr., S. 5 sgr. — ogółem 5 tal. 22 sgr. 6 fen., które wręczyliśmy Szan. Redakcji „Dzien. Poznańskiego.“

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.